

Z gęstego tłumu wyrwał się Bolesław i prosto zmierzał do europejskiego hotelu. Niktby po nim nie poznał powstańca. Ubrany czarno, w lakierowanych bucikach naciągał glansowane rękawiczki. Poczciwi koledzy tak go przestroili. Wszedł do hotelu. Znany agent policyjny, stojąc w ścisiku przed bramą popatrzył badawczo na przechodnia, ale nie na nim policeiwidriges nie dopatrzył. Powstaniec przebiegl schody i stanął przed drzwiami nr... pierwszego piętra. Z pokoju dochodził odgłos samotnie przechadzającego się i oczekującego pana Tyńskiego.

— Nie ma nikogo, mruknął Bolesław i wszedł do pokoju.

— Jak się pan miewasz, właśnie go oczekiwałem, rzekł do przybyłego gospodarz trochę chłodno, ale ten ton w ciągu rozmowy jaśniał i w końcu był bardzo łagodny, serdeczny. Siadajże pan, proszę może pan pozwoli cygaro. Dziękuję, żeś dotrzymał słowa i przyszedł. List pański otrzymałem i już nawet kroki poczyniłem, aby pana uwolnili, tymczasem i tego nie potrzeba. Proszę mi teraz opowiedzieć, gdzieś pan był i jakim sposobem pana schwytali?

Bolesław odpowiadając, dał jasny obraz przebytego życia obozowego, staczanych bitew i utarczek, malował charakter dowódców i ludzi, wreszcie tę całą krainę obudzonych nadziei zmroziła zima, a zamknęło więzienie. Tymczasem wszedł służący hotelu i zastawił obiad na dwie osoby.

— Wszak nie odmówisz mi pan towarzystwa, zapytał p. Tyński, powinienś się u mnie uważać jak w domu.

— I owszem bardzo się cieszę, że z panem kilka chwil dłużej zostanę, tyle mego, tyle przyjemności. Potem może na długo pozbawiony będę widoku rodzinnej ziemi, i...

— Jak to?

— Muszę wyjeżdżać za granicę. Myślałem, iż będę mógł jakiś czas zabawić jeszcze we Lwowie, choćby dni kilka, lecz nie podobna. Policya mię już zwietrzyła. Za długo przedtem we Lwowie siedziałem. Mieli dość czasu mię poznać.

— I wiesz z pewnością?

— Widział mię już tutaj znajomy agent i musiał poznać. Teraz się wprawdzie przebrałem, ogoliłem brodę, noszę cwikier i laseczkę cieniutką, ale nie długo bym się mógł zamaskować. Jutro wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Mam paszport do Włoch, jako kupiec podróżujący. Nazywam się Eduard Hauch.

— Może choć parę dni się zatrzymasz.

— Jutro muszę jechać. Jest najlepsza sposobność. Wyjeżdża jakiś generał, co zwiedzał tu więzienie z polecenia wiedeńskiego audytoryatu. Mają go wyprowadzać z wielką paradą. Wszyscy na niego będą mieli zwrócone oczy, a ja tymczasem łatwo uniknę podejrzania.

— To plan bardzo dobrze obmyślany. Lecz szkoda, że tak nagle wyjeżdżasz, moja familia w tych dniach tu przybędzie. Będą żałować, że się z panem nie pożegnają, mówił spokojnie pan Tyński. Ale Bolesław bladł i czerwieniał. Jakżeby rad odwołać swój wyjazd i choćby z największymi niebezpieczeństwami, zaczekać jeszcze dni parę i widzieć się może raz ostatni z ubóstwianą blondynką. Dostrzegł to p. Tyński, i żałując, że biednemu chłopcu ostatnie chwile zatrąwa, przeproszał go za swoją nieostrożność i tak kończył:

— Radzę ci, jak własny twój ojciec, korzystać z nadarzającej się sposobności tak korzystnej, bezpiecznie jutro wyjechać. Tymczasem mogą się zmienić w Austrii stosunki i będziesz mógł powrócić.

— Jam temu nie winien, ale chciałbym teraz odwlec mój wyjazd — chciałbym się pożegnać...

— Z moją córką... Bolesławie tyś człowiek rozsądny, spodziewam się więc, że przyjmiesz odemnie radę przyjacielską. Moją córkę bym ci oddał, widzisz mówię całkiem otwarcie, ale ty dziś już jesteś tułaczem, chociaż jeszcze nie wyjechałeś za granicę. Jako ojciec powinienem zapewnić przyszłość własnemu dziecku, więc nie mogę ją puszczać na wolę losów. Wiązać jej nie mogę, ani tobie przyrzekać. Jeżeli wrócisz do kraju i zdołdziesz sobie stanowisko, a ona będzie wolną, wtenczas będziemy mogli znowu o tem pomówić.

— Ona by była szczęśliwą, szepnął Bolesław.

— Tak sądzisz, boś młody, ja stary inaczej się na tę rzecz zapatruję.

Tu nastąpiło milczenie. Moznaby słyszeć muchę lecącą i prawie liczyć gwałtowne uderzenia serca Bolesława, na którego twarzy odbiła się cała okropna walka, jaką staczał ze sobą. Pan Tyński był także wzruszony. Wreszcie wstał z krzesła powstaniec i rzekł złamanym głosem:

— Więc jutro o dziesiątej wyjeżdżam.

— Przebacz mi Bolesławie tych ostatnich kilka chwil cierpkich, które ci sprawiła moja nieostrożność. Ty wiesz, że cie szanuję i cenię, ale ja jestem ojcem. Bądź zdrow. Ja cie błogosławię na całą drogę, na całe tułactwo, to mówiąc ścisnął go i całował, a łzy miał w oczach.

Bolesławowi zbiegło kilka łez po twarzy otarł je chustką, jeszcze raz w milczeniu dłoń ścisnął pana Tyńskiego i wyszedł. W przedpokoju nasadził na nos szkiełka, chwilę stanął, aby trochę przyjść do siebie, nim wyjdzie na ulicę. Wyszedł wreszcie i zginął w tłumie ulicznym.

Po dwóch latach spotykamy naszego znajomego daleko za granicami ziemi rodzinnej. Zginął dla obcych, wymazano go z pamięci, lecz w czarnych księgach policyjnych jego nazwisko umieszczone między skazanymi i okrutnie niebezpiecznymi. Zanotowano jako *statsgeferlich* dla tego, że mu się w kozie siedzieć nie chciało, za to, że nie chciał być przymuszonym żołnierzem.

Bolesław jest w państwie tureckim. Turcy, wyznawcy Mahometa nie bronią mu pod opieką swoich praw pracować uczciwie. Co więcej jego zdolność umieli dla swojej korzyści obrócić. Mianowali go urzędnikiem, powierzają mu fundusze publiczne, przeznaczywszy do kierowania robotami około gościńca przez góry Bałkanu. On, pomimo uznania i swobody chciwie wyglądał wiadomości z kraju i tęsknił oczekując ogólnej amnestyi. Goręcej czeka na listy, choć bardzo rzadkie, przecie donoszące mu o najdroższych jego, o Tynie, o jasnych oczkach... A czas płynie bezpowrotnie we dnie w pracy, a wieczorami na dumaniu.

W górskiej wiosce zamieszkał. Dom jego przylepiony jak gniazdo jaskółcze na północnej pochyłości. Okna zwrócone na północ tak, jak jego myśli w stronę pól ojczystych. Ile razy z północy zawieje, zdaje się naszemu tułaczowi, że słyszy z Pol-